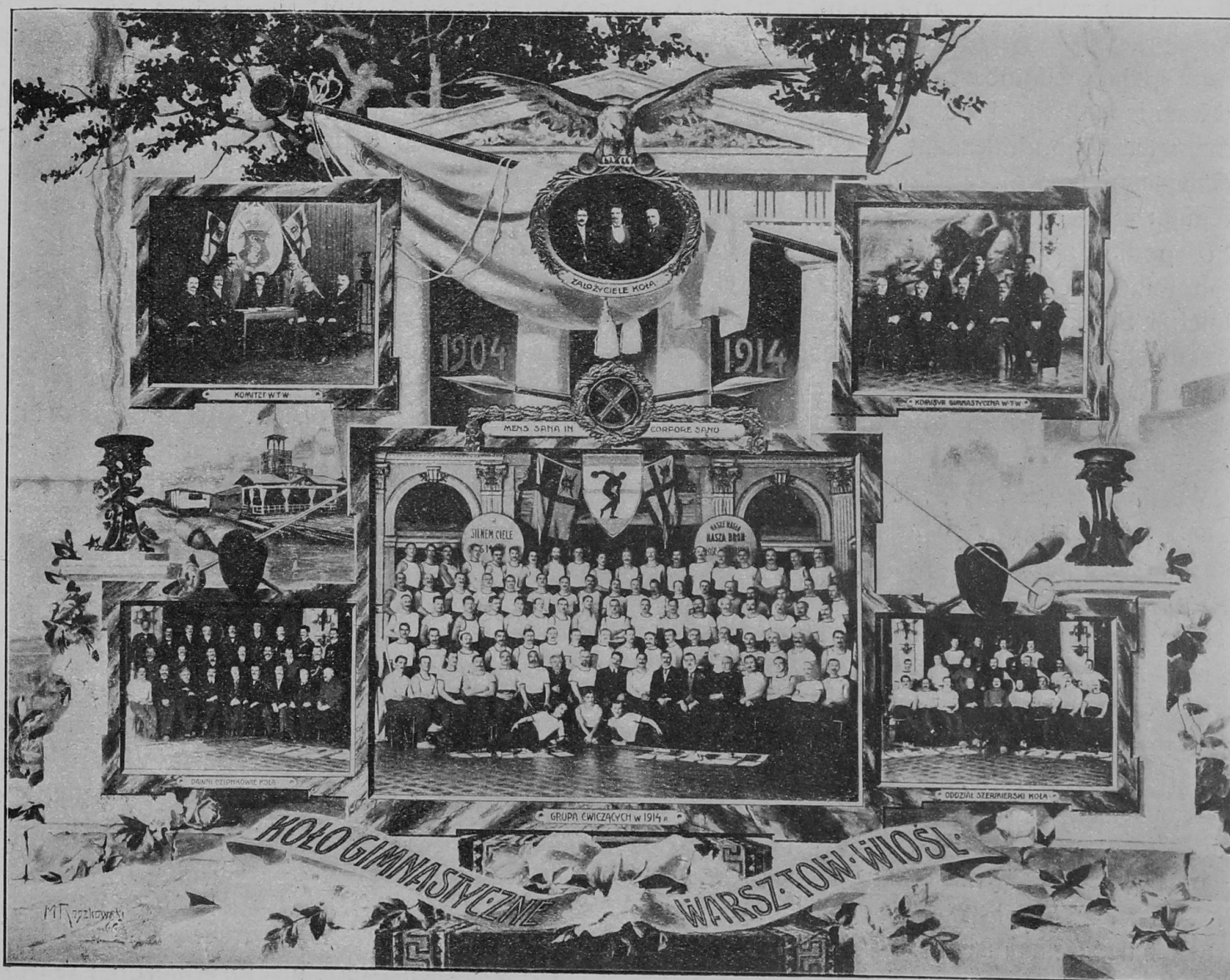


Ziarno



DZIESIĘCIOLECIE KOŁA GIMNASTYCZNEGO W. T. W.

Wychodźcy polscy w Francji.



W paryskim „Temps“ zamieścił znany publicysta, H. Vimard, pod tytułem: „Une colonie polonaise en France” obszerny artykuł, zawierający dokładne i szczegółowe wiadomości o wychodźcach polskich na ziemi francuskiej.

Kolonja ta znajduje się w departamentach Nord i Pas de Calais i liczy około 4000 polaków pracujących przeważnie w kopalniach węgla. Robotnicy polscy osiedlili się w miejscowościach: Noeux, Aniche, Bethune, Lens, Barlin, Guesnain, Lallaing. W kopalniach d'Aniche na 10,000 zatrudnionych robotników pracuje 600 polaków, w miasteczku Lallaing, położonem o 8 kilometrów od Douai, liczącem 4500 mieszkańców, przebywa 1400 polaków.

Na wstępie fejetonu, zaznacza Vimard, że ta kolonia polska powstawała od roku 1909. Wychodźstwo polskie obecnej doby — poucza swych rodaków autor artykułu — inny posiada charakter niż ten, który cechował emigrację polską po r. 1831 i 1863, i skupiał się dokoła pałacu Lambert. Dzisiejsze wychodźstwo jest przeważnie ludowe i odbywa się nie pod hasłem politycznem lecz ekonomicznem. O jego stopniowo ciągle wzrastającym rozwoju czytamy w pracy Vimard'a, co następuje:

„Po podjęciu polityki antypolskiej w Prusach, wielu robotników emigrowało z Poznańskiego Prus wschodnich i Śląska, by szukać pracy w wielkich centrach przemysłowych Westfalji: z czasem w Bochum, w Essen, w Dortmund, w Recklinghausen, utworzyły się większe grupy polskich robotników.

Dziś podają wykazy statystyczne 475,000 polaków w Westfalji. Powstały syndykaty zawodowe, stowarzyszenia kooperatywne, banki, biblioteki, czytelnie. Ale zakazana jest przez rząd pruski polska szkoła, język polski jest prześladowany. Zachodziła obawa, że element emigracyjny polski w środowisku niemieckiem ulegnie wynarodowieniu. Wobec tego podjęto akcję, by skierować go na inne, dalsze drogi. Francja, którą wiązały dawne węzły sympatji z Polską, w której utrzymywała się tradycja legionów i Wielkiego Księstwa Warszawskiego, okazała zgodność do rokowań. Zawiązane one zostały w roku 1909 i przyniosły dotąd liczebnie pokaźny wynik“.

P. Vimard zwiedził kolonję polską w niedzielę kwietniową i trafił na mszę św. Wrażenia, które odniósł, maluje w następujących słowach:

„W kościele zgromadził się liczny tłum polskich robotników; wiele kobiet nosi jeszcze malowniczy ubiór swego kraju. Mężczyźni ubrani są bardzo porządnie. Zarabiają ci robotnicy po 7 franków dziennie. Skąd pochodzi, że wyglądają o wiele czystiej, o wiele

porządniej od robotników francuskich? Na ulicy różnica uderza wprost w oczy. Zdaje mi się że pochodzi to stąd, iż jako więcej religijni, w niedzielę właśnie starają się bardziej o swój wygląd, i że święto ma dla nich więcej znaczenia. Wiedzą także, że zwraca się na nich uwagę, nie zawsze życzliwą, a są ambitni i chodzi im o to, co o nich mówią. Z oczami zamkniętymi słucham kazania młodego księdza polskiego i śpiewów nader rytmicznych, świadczących o szczerości i przejęciu. Wydaje mi się, że jestem daleko od Francji, w wiosce galicyjskiej.

„Na końcu szerokiej ulicy, na której wznoszą się małe domki górników, znajduje się szkoła polska. 160 dzieci uczy się tam polskiego języka, historii i jeografii ojczystej, pod kierunkiem dwóch nauczycielek. Godziny nauki są tak urządzone, by nie przeszkadzały szkole francuskiej, do której wszystkie te dzieci także uczęszczają. Na ścianach karty jeograficzne ziem polskich, wizerunek Chrystusa i orzeł polski z napisem: „Bóg i Ojczyzna“. O kilka domów dalej urządził któryś z polskich robotników rodzaj gospody, w której w wielkiej sali, mogącej pomieścić 400 do 500 osób, obok ogłoszeń o przepisach zwalczania pijaństwa, wisi portret księcia Poniatowskiego i Kościuszki. W głębi mała scenka do przedstawień amatorskich; w kącie sali obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

„Schodzą się ludzie w tej sali nie poto, by uprawiać agitację socjalistyczną. Ćwiczą się w niej sokoli w razie niepogody. Odbywają się także od czasu do czasu odczyty. Odwiedzając gospodę, słyszę zewsząd pozdrowienia w polskim języku: „Jak się masz?“, „Dzień dobry“; twarze przeważnie wesołe i zadowolone; wydaje mi się, że jestem na przedmieściu polskiego miasta przemysłowego, Zgierza lub Łodzi“.

Po tym malowniczym opisie H. Vimard, który zresztą dłuższy czas przepędził w Polsce i zna język polski — przechodzi do wniosków ogólnych i zadaje sobie pytanie, jaka jest przyszłość tego wychodźstwa zarobkowego do Francji?

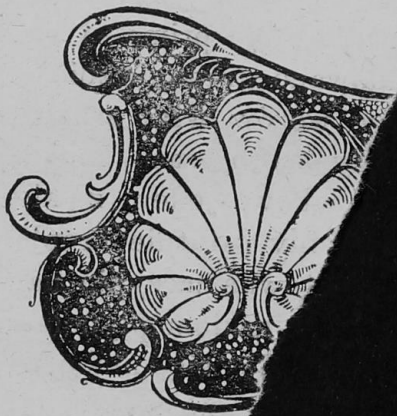
„Zdaje się, że z punktu widzenia materialnego próba się udała“ — odpowiada Vimard; towarzystwo akcyjne, które, ponosząc znaczne koszty, sprowadziły robotników polskich i ich rodziny, są zadowolone z ich pracy i w dalszym ciągu ich poszukują; co rok przyjeżdżają nowi i bardzo mało powraca. Zarzucają jedynie polakom, że są trochę powolni i mniej zdolni niż francuzi do niektórych robót, bardziej skomplikowanych, natomiast celują w zakresie robót cieśliskich. Polacy są niekiedy podejrzliwi i obraźliwi, ale dobre obchodzenie się z nimi uleczy ich“. Stosunki z ludnością francuską z biegiem czasu polepszyły się. Pod względem politycznym są oni spokojni — zaświad-

cza Vimard. Próby wciągnięcia ich do organizacji socjalistycznych nie udały się; między innymi przyjeżdżała agitatorka żydówka „pani Helena“, która władała językiem polskim, lecz zdołała zwerbować tylko kilku rodaków.

Następnie zastanawia się jeszcze autor feljetonu nad tem, czy robotnicy polscy w Francji się zasymilują. Sądzi że mało to jest prawdopodobnem. Przeciwnie, nawzajem do siebie zbliżeni będą dążyli coraz bardziej do tworzenia organizacji, o ile możność autonomicznych: parafji w braku gmin. Zgrupowani dokoła swych księży myślą już w Lallaing o wzniesieniu dla siebie osobnego kościoła; niebawem będą mieli nie tylko własne szkoły, lecz również kawiarnie, sklepy (dotychczas istnieje tylko

rzeźniczy), pisma, stowarzyszenia życia francuskiego, będące i przechowują swój język i kulturę charakterystycznym. W Lallaing notowano ich

„Ni
nale
i



A

A kiedy w

Czemu w

A kiedy

Dlaczego

Gdy

W

W

T

L

A

... i płyną z oczu łzy perłowe...

— Gdzież znikły, gdzież me sny tęczowe?

W podziemia smutku, duch mój kroczy,

W otchłanie bólu, w kraj zamroczy...

W zamroczach smutku duch się ślania

W męce straszniejszej od konania.

Z. R.



naszy
tów opon,
była dość obojętną. W
obywatelskich, kupieckich i handlowych
poważnie z trwałością maszyny i oszczędnością
dzaniem jej potrzeb. Dzisiaj zajmuje nas to bardzo,
czy przy zachowaniu potrzebnej szybkości na go-
dzinę przebycie wiorsty kosztuje 18 czy 30 lub wię-
cej kopiejek.

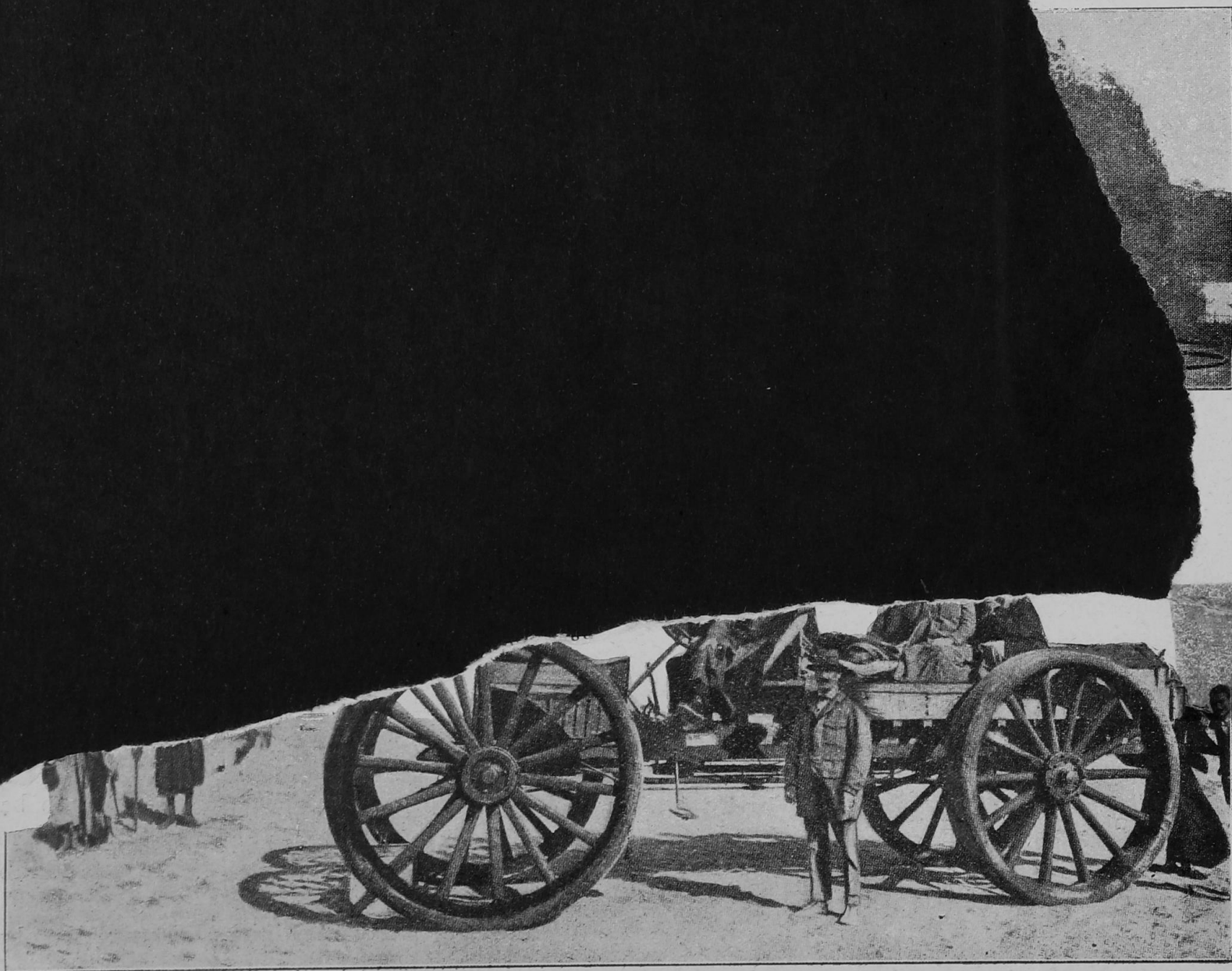
Rozstrzyga to zasadniczą sprawę: albo obywatel
się bez samozajazdu, albo widzę w jego nabyciu oczy-
wistą dla siebie korzyść.

zenia, dzisiaj jedynie racjo-
samochodów na zużycie
szczęśliwym. Wyja-
sprawę niezbę-
potrzebowania
ocześnie
im

razić całe przedsięwzięcie na niepowodzenie. Że tak
się nie stało, zawdzięcza redakcja „L. i A.” energii
i zabiegliwości komitetu.

Z zgłoszonych do konkursu wozów 16 rozma-
tego typu i nierównej siły koni, wycofano z powo-
dów prywatnych maszyn 6. Pozostałych 10 znalazło
się dnia 21 kwietnia o godzinie 12 w południe w
hali parku Agrykoli.

Komitet po wszechstronnem zbadaniu teorety-
cznej strony konkursu, ułożeniu szczegółowego re-
gaminu i ustaleniu odpowiedniej formułki, przy-
jęto nie wolno pominąć wyszczególnienia zabiegli-
woci inżynierów: S. Płużańskiego, S. Szczeniow-
skiego, Deklera i Cz. Zakrzewskiego — przystą-
jąc do czynności praktycznej. Wymierzono
próbkę, zważono benzynę — użyto wy-
miernika „Oscarynę” prima — i po nalaniu
zabawiano starannie zbiorniki. Po-
tem wozów wraz z załogą.
Przebiegły sporo czasu, nie obyło się
bez wypadków: jeden z kierowców
wylał ostatnie krople z swej
głównego naczynia na gwóźdź
zostawiony przy kurkiem płynem.
W tym czasie było się niebo i deszcz
czekano się, że mniej ku-



Samochodem poprzez Saharę.

rze będzie na szosie i słońce nie będzie dokuczać wycieczce; w gruncie serca każdy pragnął pogody.

W niedzielę rano mijali się wcześnie sportowcy z spóźnionymi zwolennikami zabaw nocnych. Zie wali jedni i drudzy, lecz pierwszych niesło radosne uczucie, które zagrzewa niewyspane członki przed



miłem i zdrowem przedsięwzięciem. Ten i ów z radością spoglądał na pogodne niebo i wylaniającą się z jutrzeńki tarczą wesołego, wiosennego słońca. Nawiasem dodać wypada, że nie należy ludzić się co do ciepłych promieni i łagodnej aury. Podczas jazdy na dłuższy dystans trzeba być ubranym ciepło, gdyż wiatr dobiera się wszystkimi szczelinami do skóry i chłodzi ją dotkliwie.

Jak dnia poprzedniego, przyjęły nas na wstępie do Agrykoli aparaty foto i kinograficzne. Każdy pozował się, jak mógł najpiękniej; nie brak było i uroczych zwolenniczek sportu, które szarzynę czapek i płaszczy oplatały wdziękiem swych woalów. Znalazły się i przyjaciółki samojazdów, które w wieczornych strojach pospieszyły na plac startu wprost z zabawy.

Wszyscy otoczyli niebawem komandora i członka komitetu, inż. S. Szczeniowskiego, który ostatnie przed biegiem udzielał wskazówek. Zegarki pokazują godzinę 6, pierwszy wyrusza na znak, dany przez inż. Szczeniowskiego: Laurin & Klement p. S. Ungra, drugi Benz p. K. Popiela, trzeci Laurin & Klement p. K. Cyprysin.

sportowych, oraz dwaj przedstawiciele fotografii i kinematografji.

Oblani świeżymi promieniami słońca jedziemy w odstępach 3 minutowych przez trzeci most ku rogatce lubelskiej i wjeżdżamy za Miłosną na dobrą i gładką szosę, przerywaną coprawda licznymi nasypami szabru i kilkoma rozebranymi mostami. Wycieczka przybiera coraz bardziej charakter wyścigu. Zbyt gorliwy w tej mierze kierowca szóstego wozu zawadził przy braniu prowizorycznego mostku o „babę“. Wóz chwieje się w posadach, pasażerowie wykonywują gwałtowne ruchy naprzód i wstecz, komisarz jak może notuje szczegóły — wynik niezbyt straszny, lecz nieprzyjemny: wóz po kilku podrygach wypowiedział posłuszeństwo. Trzeba go było wycofać z biegu, jadących zabrali litościwi współzawodnicy, a komisarz już przed Garwolinem mógł zakończyć swe czynności.

Wszystkie inne wozy, począwszy od godz. 8 minut 57 stanęły kolejno w obszernym podwórzu obok hotelu Victorja w Lublinie. Po dolaniu benzyny pod nadzorem komitetu i ponownem oplombowaniu maszyn zasiedliśmy w około 60 osób do zasłużonego śniadania. Szybko znaleźli się przyjaciele lubelscy z pp. Rakowskimi na czele i niebawem zawiązała się wesoła pogawędka, przeplatana dźwiękami muzyki i popisami tanecznymi. Że zręcznym i wdzięcznym wykonawcom nie szczędzono oklasków, dodawać nie trzeba. Równie szczerze pracowały oba aparaty, by przebieg raidu z wszelkimi szczegółami przekazać potomności.

O godzinie 1½ rozpoczął się pod kierownictwem p. Rakowskiego z Lublina start powrotny dziewięciu wozów, którym towarzyszył samochód komitetowy oraz kilka maszyn poza konkursem. Przy rogatkach grochowskich stanął najpierw Benz p. K. Popiela, potem Laurin & Klement p. K. Cyprysin.



skiego, dalej Laurin & Klement p. A. Jaworskiego, N. A. G. Peugeot, Ford, Laurin & Klement p. Ungra, Opel i wreszcie Benz p. Neprosa.

Dla obliczenia konkursowego i sprawdzenia ostatecznego wyniku porządek ten jest obojętnym. Bo szybkość w przebyciu drogi nie oznacza jeszcze, że pierwsze trzy wozy zdobyły nagrodę. Chodzi przecież o to, która maszyna zachowuje przepisaną szybkość najmniej zużyła benzyny.

O godz. 6 wieczorem w porządku finiszu wozy przejechały Pragę, most Kierbedzia i przez Krakowskie Przedmieście i Aleje Ujazdowskie dotarły znów do Agrykoli.

Stan wozów i uczestników wycieczki był od początku do końca doskonały; nasz lekarz nawet kawałka waty wyciągnąć nie potrzebował.

Wogóle przebieg konkursu wykazał, że przy dobrej woli i szczerem oddaniu się przedsięwzięciu dużo dokonać można. Niech bezstronne stwierdzenie tego faktu dla redakcji „L. i A.” będzie nagrodą i zachętą na przyszłość.

Komisarz.



HENRYK RZEWUSKI.

Zamek krakowski.

Romans historyczny z wieku XVI.

(c. d.)

Wrócili więc wszyscy do zagrody, a po drodze umawiali się z sobą o warunki potyczki. Stało na tem, że każdy z nich będzie bez broni, a tylko koszulkę żelazną mieć będzie na sobie, według zwyczaju zaporozkiego. Że kozak będzie używał swojej broni, to jest spisy, szabli i łuka, a drugi kopji i topora. Tym sposobem zrównały się ich siły, chociaż pan Ezechiel nie miał łuka, za-
szak i tarczę, których tam

na, równą i zasłaną murawą jakby kobiercem, tam zatrzymali się, by przystąpić do sprawy.

Od tego zaczęli, że obaj wykonali przysięgę, raz na to, że żaden z nich nie ma broni zaczarowanej, powtóre, że wszystkie umówione warunki bitwy dotzymane będą.

Ataman, a przy nim Swiryd, który z toporem w ręku o krok go już nie odstępował, zsiadli z koni i wymierzili pięset kroków mety. Na jednym końcu stanął Sahajdaczny, na drugim pan Ezechiel, a piszczałka zawieszona na szyi atamana miała dać hasło do nacierania na siebie.

— Panie Ezechielu, życzę spuścić kratę od przyłbicy i tarczy nie dać spoczynku. Bo przez całe życie tyłu dziewczętom się nie zalecałeś, ile za chwilę strzał na ciebie wypuszczę.

To rzekłszy, a widząc, że jego przestroga nie była daremną, świsnął.

Pan Ezechiel z wolna postępował, chcąc wprzódy przeciwnika wyrozumieć. Sahajdaczny z miejsca konia przypuścił, i stanawszy o kroków kilkadziesiąt, od tego zaczął, że wziął się do kołczanu. W jednej chwili trzy strzały razem świsnęły koło przyłbicy lackiego rycerza. Jedna z nich odbiła się od pręta kraty opuszczonej; gdy ta była podniesiona, bitwa bez najmniejszej wątpliwości na wstępieby się skończyła.

Pan Ezechiel odtąd tarczą się zasłaniał i na miejscu się obracał, podczas kiedy Sahajdaczny na zwinnym swoim koniu obszerny obwód robił wokoło rycerza, bez przestanku wypuszczając strzały. Coraz bliżej się kręcąc nie jedną strzałą ugodził w koszulkę, tak że rycerz powinien był wyglądać jak jeź. Kozak nie znał przymiotów stali jorskiej i niepojmował, dlaczego każdy pocisk od koszulki odskakuje. Przelotne miewał podejrzenia, że może ma do czynienia z charakternikiem. Jeno młodość rycerza nie dozwalała przypuścić, by posiadał paskudną naukę, która tylko starców bywa udziałem. Pan Ezechiel zaraz pomiarkował, że Siwosz, jakkolwiek doświadczony, a nawet jak na wzrost swój lekki, lecz usposobiony do dźwigania ciężko uzbrojonego jeźdźca, nie może sprostać zwinności wiatronogiemu synowi krymskich stepów. Postanowił więc nie wrywać się na harc, ale czekać, aż koń przeciwnika się znęka, a dopiero żwawiej nacierać. Sahajdaczny, widząc, że

W nadziei, że już go zmieszał, nie chciał mu dać odetchnąć, rzucił się na niego jak błyskawica, spiseł opuszczył, a ciężką swoją szablicą zaczął go okładać tak szybkimi razami, iż przez chwil kilka zdawało się, że niezaprzeczone otrzyma zwycięstwo, zwłaszcza kiedy go tak silnie uderzył po szyszaku, że rycerz aż się pochylił na szyję swojego rumaka. Ale to właśnie zgubiło zaporozca, bo kiedy już pewny swojego zabierał się znękanego lacha powalić z kulbaki, ten zasłonił się tarzszą, a tem zakrywszy swój obrót, uchwycił topór i zniemacka tak silnie nim uderzył po misiurce, że kozak tylko jęknął i przez łeb konia koziołkiem padł na ziemię. Pan Ezechiel leżącego kozaka powoli zaczął ruszać kopją, a widząc, że się nie rusza, chwycił trąbkę, którą zawsze miał uwieszoną na piersiach, i otrąbił zwycięstwo.

Przybiegli ataman i Swiryd: pierwszy żeby ratować kolegę, drugi, żeby się zabrać do konia i innej zdobyczy.

— Swirydzie — rzekł pan Ezechiel — Bóg z nami. Ten koń krymski dla ciebie przeznaczony; rozsiodłaj go, tylko dery nie zdejmuj, bo zgrzany, w kulbace muszą być pieniądze, byłeś przy tem, jak ziemię jadł, przysięgając, że co wziął u jegomości, znajduje się przy nim.

Ataman obejrzał Sahajdacznego, a widząc, że już po nim, obrócił mowę do pana Ezechiela:

— No, mości towarzyszu, niema gadania, zmniejszyłeś nas o połowę. Ani drga. Chłop był jak dąb! to też jak kłoda padł od topora. Znajdziesz waszmość w jego terlicy, z czego sobie po nim sprawić żałobę, bo jużci jesteś jego spadkobiercą.

— Jakem szlachcie — odpowiedział pan Ezechiel — więcej mi przybyło szczęścia, niż go sobie żądałem. Bo śmierci mu nie życzyłem, chciałem go tylko z konia zwalić, żeby z spieszonego zażartować do woli. Tylko że to już tak osądzone było. Pozwól mnie, panie atamanie, dowiedzieć się o terlicy, którą nabyłem, a potem odczęstować waszeci u Ieka tem samem winem, co mi dnia wczorajszego z waszeci łaski posłużyło na dzisiejsze szczęście. Żal mi człowieka. Nie spodziewałem się mieć tak miękkie serce. Jeno może mu i lepiej: nie ma żalu za koniem i groszem. Niech żydzi w mojej przytomności bezkarnie mój herb oplują, jeżeli nie wolalbym zginąć, niż widzieć Siwosza w ręku takiego, co mnie powalił. Potem jak na chama, to i to nie lada zaszczyt poledz z ręki karmazynowego szlachcica, pasowanego na rycerza, i pójść na tamten świat prawie w tymże czasie, co i król i kasztelan krakowski... Ale co to jest? a reszta pieniędzy gdzie? Wszak to dwieście złotych pokazuje Swiryd, a trzysta gdzie się podziały? Bestja i po śmierci mnie okradł, a ja go żalowałem jak poczciwego człowieka. A hajdamako przebrzydły! teraz leżysz, psie! tobie nie raz, ale kilkaset razy trzeba było być zabitym. A jak hultaj ziemię jadł, krzywoprzysięgając!

Panie atamanie, spodziewam się, że waszec wejdiesz w moją krzywdę i zechcesz mnie ją wynagrodzić.

— A czy to do mnie należy cudze rachunki sprawdzać?

— To waść tak? Szkoda, żeś nie na dudka natrafił. A co to ja wojewoda lub hetman, żebym trzysta złotych za sobą rzucał, jak kopję, u której żelaziec odcięty? Wszak był obecny naszej przysiędze i sam zaręczałeś. Jeżeli taka wasza uczciwość, niechże djabli was kásają.

— Ale, mój mości towarzyszu, wszakże umowa nie była o tyle lub o tyle złotych, ale o to wszystko, co się wzięło u ojca waszmości. Na tośmy tylko przysięgali.

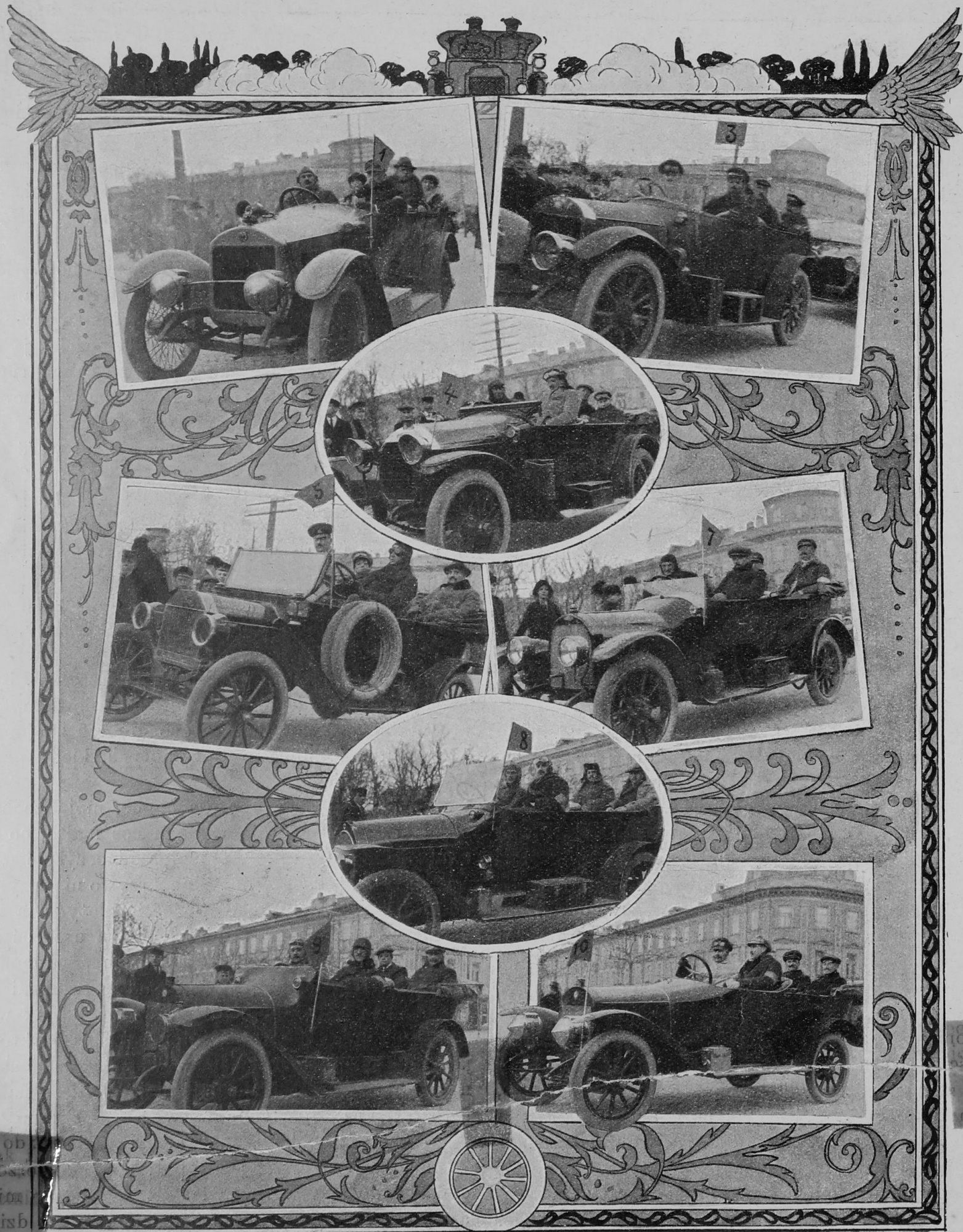
— Słuchać nie chce takich andronów. Może jeszcze się kiedyś urodzi taki, od którego dam siebie skrzywdzić. Czy to ja nie czytałem u jegomości waszej karteczki na pięćset złotych, coście ją obaj podpisali krzyżykiem, jak gapie, co pisać się nie nauczyli? Na co to w bawełnę obwijać? Zaporozka natura — złodziejska natura; ale kosa trafiła na kamień. Otwarcie się tłumaczę; wróc mi waść moją szkodę, to pohulamy z sobą cały dzieć, a jutro pójdziemy na ostre. Ale jeżeli waść nie zechcesz wynagrodzić mojej krzywdy: kwita z zawieszenia broni, rozprawimy się zaraz, choć waść świeży, a ja po pracy.

— A jakiś waćpan łapczywy do korda, panie Ezechielu: spojrzyno mi w oczy—to rzekłszy, zrzucił plastry z oka i twarzy.

— Kazimierz! — krzyknął pan Ezechiel, i rzucił się w jego objęcia — moje serce się domyślało, że w tobie jest coś mi bardzo dobrze znajomego. Bierżże djabli moje trzysta złotych, kiedy przyjaciele odzyskują.

— Znajdą się i one dla ciebie, mój Ezechielu, bo mamy jeszcze chwała Bogu coś nadto, co nam twój ojciec odliczył. Ale najprzód oczyścić muszę sławę Sahajdacznego: on tobie krzywo nie przysięgł: bo twój ojciec dał tylko dwieście złotych, a wziął kartkę na pięćset, żeby dla siebie na nas coś zarobić. Co to nam szkodzi? zwyczajne, ekonomskie rachunki. Nagadamy się w gospodzie. Ale mi trzeba na nowo zostać ślepym zaporozcem, bo jak wiesz, teraz znajduje się w Kalniku taki, przed którym, jak pokażę się szlachcicem w własnej swojej skórze, na tem mogę wyjść nie najlepiej. A liczę na twojego Swiryda, że wielomówstwem nie zgrzeszy.

— Bądź spokojnym, panie Kazimierzu: do worka mojego ojca prędzej się potrzebny dobierze, niż ciekawy do języka Swiryda. Ruszaj że do miasta, a my tu na ciebie czekać będziemy. Masz dziesięć złotych. Przywieź tu parokonną podwodę panów zaporozców, żeby luźne zbroje zawieźć do gospody, i dostań trzech chłopów kopaczy, żeby temu, co leży, pogrzeb sprawić naprędce. Masz pieniądze; za nie wszystkiego dostaniesz na jarmarku. No, ruszaj! spraw mi się dobrze, a jaknajspieszniej powracaj

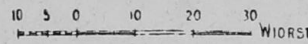


PIERWSZY KONKURS SAMOCHODOWY NA ŻUŻYCIE BENZYNY.

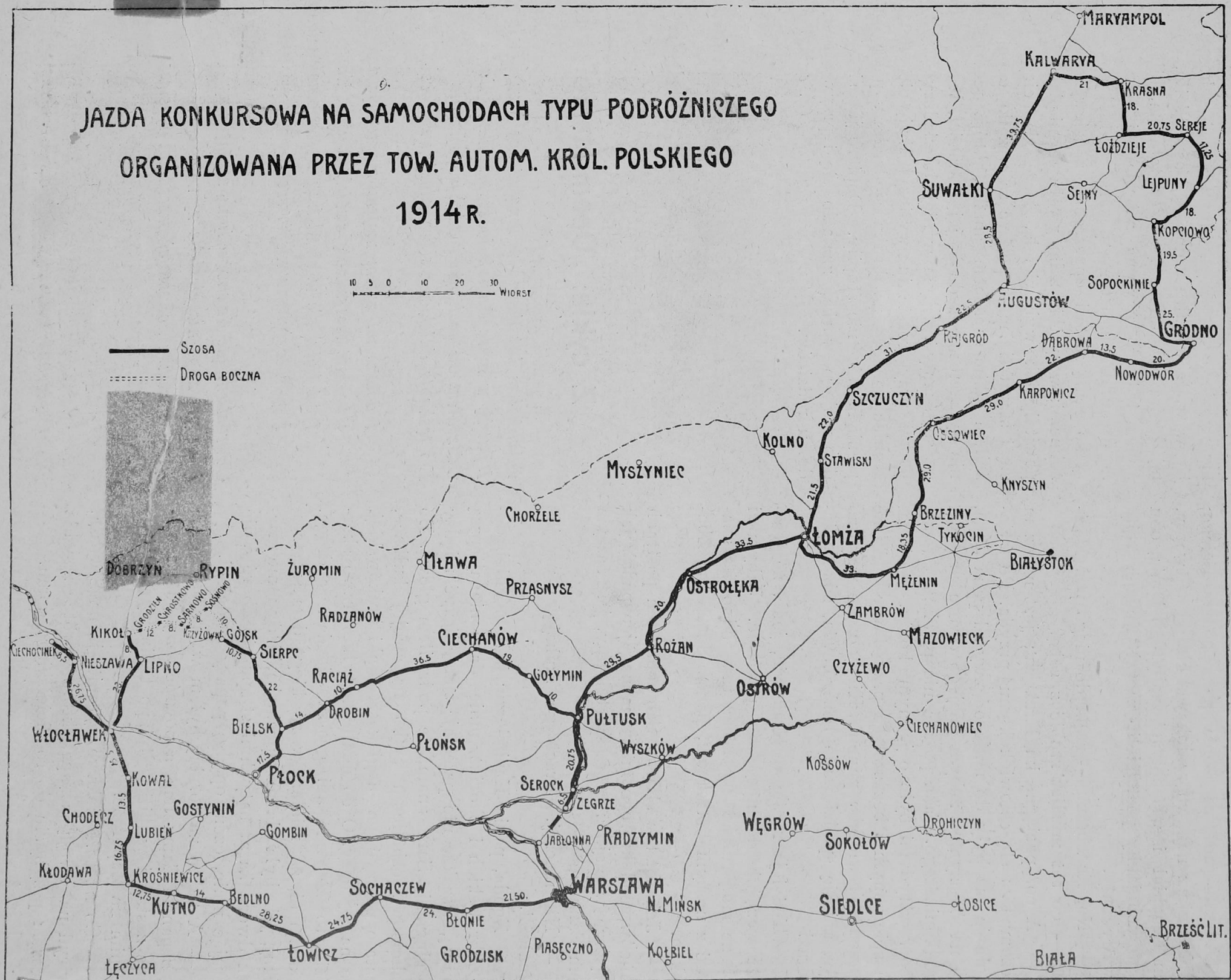
siwka
102 88
saczny,
20mm
pym
CO M

-10W 00
828
nie
rosz
dziesięć

JAZDA KONKURSOWA NA SAMOCHODACH TYPU PODRÓŻNICZEGO
 ORGANIZOWANA PRZEZ TOW. AUTOM. KRÓL. POLSKIEGO
 1914 R.



— SZOSA
 - - - DROGA BOCZNA



Ja sam przeprowadzać będę konie, rozmawiając z panem Kazimierzem, który dla wszystkich i dla ciebie jest atamanem Detyną. A wróciwszy nacieszysz się koniem, com go nabył dla ciebie. Widzisz, błaznie, jak dobrego masz pana.

Swiryd siadł na konia pana podstarościego; pan Kazimierz nanowo rozlokował kitajki na twarzy, a pan Ezechiel i własnego i nabytego konia, obu zmorzonych jakby po kąpieli, zaczął wodzić, żeby się wydychały.

— No, Ezechelku — rzekł do niego pan Kazimierz — co też myślisz zrobić z sobą?

— A co? pociągnę ku Krakowu; jest na czem i o czem; tam się człowiek komuś przyda. Po świętym Janie już były do mnie odezwy od pana Jana, hrabi na Tęczynie, żebym do jego dworu przystał na podkoniuszego. Taka posada nie piechotą chodzi, ale cóż? wstyd mi było o jednym koniu, z gierkiem spieszonym i bez szeląga przy duszy pokazać się przed tak wielkim panem. Kiedy mnie wabiono wtedy, ani się spodziewano bezkrólewia, cóż dopiero teraz!

— Toć i ja myślę o Krakowie, jeno, że jeszcze za wcześnie do niego się puszczać. Ja bym ci radził ze mną ruszać na Sicz: tam odnowisz znajomość z naszym hetmanem, panem Samuelem Zborowskim.

— Jak to, ten sławny Samucha, ten postrach pogańców, pod którego mieczem nogajce padają jak chrząszcze w maju z potrząśniętej lipy, jest naszym panem Samuelem?

— Nie inaczej. Bracia go szukają, a my już go znaleźli.

— Zgoda, panie Kazimierzu; jadłem chleb domu Zborowskich i chociaż mnie dano nienajlepszą odprawę, wszakże nie przestaję siebie liczyć między jego sługami. Sam znam, że podrwiłem głowę. Bo szlachcicowi, osiadłemu tylko na swojej kulbace, przystało patrzeć na nogi kasztelanki krakowskiej, a nie na jej oczy. O co miałbym tylko prawo skarżyć się, to że mnie ani grosza nie dali na drogę. Powiadam ci, że miałem wszystkiego dwa szostaki; miarkuj, jaka była dla mnie pociecha, kiedy mnie marszałek dworu kazał natychmiast opuścić Zborów, nie zapytując mnie, czem opędzę popasy i noclegi.

— A ty co na to? bo byłem wtenczas na Litwie z panem Samuelem, a powróciwszy jużem ciębie nie zastał i w kilka dni po tobie wynieśliśmy się z nim na Zaporozie.

— Co na to? ciekawe pytanie; ja na Siwosza, a Swiryd na swoją szkapę, która wkrótce zdechła po naszym przybyciu do rodzicielskiego domu.

— I jakże ty podróż odbyłeś bez grosza?

— A cóż, płazem mojej szabli płaciłem za popasy i noclegi. I tu sumienie nic mnie nie wyrzuca, bo innej monety nie miałem, powtóre, że sprawa była z żydami. Potem zdarzyła mi się służba w jednym szlacheckim domu, ale dostatnim. Dano mi

dozór nad końmi; to było już po myśli, chociaż to wstyd towarzyszowi pancernemu zejść z pańskiego chleba na służbę u szlachcica. Aż tu wśród dnia tatarzy na wieś napadają; ja na koń, zbieram stajennych i bośniaków szlachcica, myślę, że on z nami pójdzie, a on tak stehórzył, że się schował, jakby w wodę wpadł. Mnie się poszczęściło, bo swoimi dopisali, odbiłem zdobycz tatarom, kilku położyłem, jednego żywcem zabrałem i tak wróciłem do domu. Dopiero teraz pokazał się mój pan, bośmy tylko panią zastali opuszczoną, z dziewczętami służebnymi; wszystkie załamywały ręce i płakały. Mnie powitały jak wybawiciela, lecz szlachcic wstydził się i starał się mnie pozbyć za wszelką cenę. Opuściłem takim sposobem służbę, która rzeczywiście nie była stosowna do mojej godności, lecz nie mogę się skarżyć, żebym w niej doświadczył krzywdy, bo mi przy rozstaniu wyliczył dwieście złotych. Koniec końców na bruku siedziałem, pokąd moje pieniądze się nie stopiły. Dopiero jak się odkryło dno mojego worka, znalazło się i przywiązanie do domu rodziców.

(d. c. n.).



Z cyklu: „Opamiętanie”.



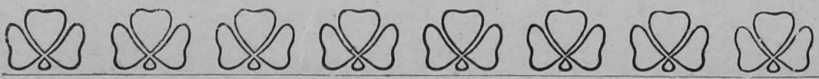
*Odwróciłem już dawno w inną stronę oczy
I patrzę w nowe dzisiaj duszy przeznaczenia, —
Odszedłem od kochanki i od jej spojrzenia
Do tęsknoty dalekiej na gwiazdnej przezroczy...*

*I dobrze mi z tem mojem marzeniem tak żyć
I kochać tę tęsknotę swoich białych dni
I od ludzi się w ciszach gdzieś wieczornych kryć
I patrzeć jak na niebie srebrny księżyc śni...*

*Odwróciłem już dawno w inną stronę oczy
I nie patrzę w niczyje bóle ni uśmiechy,
A że czasem z pod mojej przesamotnej strzechy
Uleci jakaś rozpacz i duszę zamroczy —*

*To się bólem upieszczę — i w ukójny żal
Pójdę nad kołyszące się gdzieś szumne gaje,
Wzrok zatopię w daleką, hen! bezbrzeżną dal,
A myśl śniącą okwiecę w kiedyś zmarłe maje...*

Józef Węgleński.



Łotr przyjacielem Unji.

Jak dziwnymi drogami chodzi nieraz polityka, wykazuje zatarg meksykański. Walczą tam dwaj rozbójnicy o władzę w kraju, mianując się szumnie jeden prezydentem Huertą, drugi generałem Villą. O ile pomiędzy tego rodzaju ludźmi może istnieć różnica, to mniejszym łotrem jest stanowczo Huerta. Lecz nie podoba się on rządowi w Waszyngtonie i dlatego prezydent Wilson wszelkimi sposobami popiera większego rzezimieszka, który też dzięki dowozu broni amerykańskiej, kilkakrotnie pobił wojska rządowe Huerty. I w obecnym okresie wojennym, kiedy Stany Zjednoczone wysłały flotę na morza meksykańskie i swe wojska lądowe do nieszczęsnego kraju, operacje swe opierają na przyjaźni zwycięskiego generała, mordercy setek ludzi, złodzieja i rabusia najgorszego gatunku.

Villa jest na razie tryumfotorem. Sława jego rośnie, ale zarazem wychodzą na jaw różne szczegóły z życia tego wodza, rzucające na niego dziwne światło. Przedewszystkiem przywódca powstańców nie nazywa się Franciszek Villa, lecz Doroteo Arango. Nazwisko zmienił dlatego, że na Arandzie ciążyło zbyt wiele kondemnat. Swoją kryminalną karierę rozpoczął Villa mając lat czternaście i został wówczas skazany na więzienie za kradzież bydła. Odsiedziawszy karę, udał się do kopalni Ginacevi, z kąd jednak po kilku miesiącach uciekł, dopuściwszy się morderstwa. Przez jakiś czas przebywał w Parral, koło Chihuahua i tam z polecenia jakiegoś starego przestępcy zabił kogoś, za co otrzymał sporą sumę. Uciekwszy, schronił się w górach Sierra de Peries, gdzie zorganizowawszy szajkę zbójczą, uprawiał na wielką skalę kradzież bydła. Z czasem ośmielił się tak, że na czele swej bandy posuwał się aż pod mury Chihuahua. Koło roku 1909 stał się postrachem całego kraju. W roku 1910, w dzień uroczystości stulecia niezależności Meksyku, wjechał w biały dzień konno do Chihuahua i na głównej ulicy Avenida Zarco zastrzelił w oczach mnóstwa ludzi byłego członka swej bandy, Claro Reza, który go zdradził, poczem galopem wyjechał z miasta. Wyprawiono za nim w pogoń mały oddziałek strażników, ale bandyta, kiedy...

sego Feliksa Mestasa i obrabował go. Kiedy Madero zwyciężył, Villa założył w Chihuahua rzeźnię, w której sprzedawał kradzione bydło. Kiedy Orozco podniósł rokosz przeciw Maderze, Villa zaofiarował mu swoje usługi; odtrącony jednak przez niego, rabował w dalszym ciągu, twierdząc, że czyni to w służbie rządowej. W Parral obrabował filję Banco Minero, zabrawszy przeszło 200,000 dolarów; ściągał też bezprawnie kontrybucję i „pożyczki przymusowe“ (Prestamos forzosos). Podczas kampanji, którą generał Huerta na północy z powodzeniem prowadził przeciw Orozcowi, zgłosił się do Huerty, który jednak widząc, iż Villa jest zwykłym bandytą, uwięził go. Villa znowu uciekł z więzienia i schronił się do El Paso w Texas. Po upadku Madery powrócił do Chihuahua, zorganizował szajkę, napadł z nią na stacji San Andres na pociąg i zrabował 96 baryłek srebra i dwie baryłki złota, wartości 300,000 dolarów. Przy tej sposobności zastrzelił jednego z najbogatszych mieszkańców Guerrery, Hererę; Huerta wysłał za nim pogoń, ale Villa, wymknąwszy się mu, napadł na La Asuncion, wyciął w pień mężczyzn i pastwił się nad kobietami. Zdobywszy miasteczko Camargo, zastrzelił tam hiszpana nazwiskiem Montilla, który nie chciał złożyć żądane go przezeń okupu. W bitwie pod San Andres wziął do niewoli 200 ludzi. Nie chcąc na nich „marnować“ amunicji, kazał ustawić jeńców szeregami po pięciu i w każdą piątkę strzelał z armaty. Kiedy później zdobył Chihuahue, wygnał hiszpanów i skonfiskował ich majątki.

W ciężkich chwilach chronił się na teren amerykański, a rząd Unji, mimo że znał dobrze zbrodnie Villi, nigdy mu schronienia nie odmawiał.



Z blizka i daleka.

Groźny pożar. Groźny i dużych rozmiarów pożar szerzył się dnia 20 b. m. w godzinach przedpołudniowych na powiślu w zabudowaniach różnych urzędów i fabryk miejskich. Ogień powstał w tartaku miejskim prawdopodobnie od wybuchu płynu w jednym z kotłów, w którym przyrządzano substancję do nasycania kostek drewnianych na bruk. Iskierki, lecz główni obrzuciły

Około godz. 1 po południu pożar doszedł do punktu kulminacyjnego. Pożoga zdawała się nieuniknioną nie tylko dla przyległej betonowej fabryki, ale dla całego szeregu budowli miejskich i prywatnych.



Pożar tartaków miejskich w Warszawie.

Dopiero po 3-godzinnych wysiłkach strumienie wody z kilkudziesięciu wylotów, hydrantów, sikałek ręcznych i parowych, zrobiły swoje i uśmierzyły pożogę. Tartak, masy materiałów, gotowe deski i kilka budynków sąsiednich eksploatacji wodociągów zgorzały do szczytu, ocalono jednak trochę jeszcze kostek i zagrożone silnie zabudowania.

Straty dochodzą wogóle w przybliżeniu do stu tysięcy rubli, z których niespełna połowę pokryje ubezpieczenie.

Pożar tartaku miejskiego spowodował od razu wstrzymanie wszystkich robót brukarsko kostkowych w Warszawie. Wobec tego, że wszystkie kostki spłonęły, zapas uliczny będzie użytkowany na wykończenie kilku robót brukarskich niezbędnych.

Jazda konkursowa na samochodach. Urządzony staraniem Tow. Automobilistów Król. Pols. konkurs samojazdów od 21 do 24 maja obejmował w czterech etapach znaczną przestrzeń 1139 wiorst, w czem 38 wiorst bocznej drogi. Kierunek jazdy prowadził dnia pierwszego z parku Agrykoli w Warszawie przez Ciechocinek do Płocka; dnia drugiego z Płocka przez Łomżę do Suwałk; dnia trzeciego z Suwałk przez Grodno do Łomży, a czwartego z Łomży przez Zegrze znów do Warszawy. Droga była wielce urozmaicona; prowadziła bowiem przez piękne okolice Ciechanowa, Pułtuska i Ostrołęki, górzysty teren dzielnicy augustowskiej, obok suwalskich i wód litowskich.

Klub automobilistów wyznaczył cztery nagrody, z których przypada pierwsza samochodowi Laurin Klement, druga marce Delahaye, trzecia Peugeot, czwarta Opel. Tak wypadło podług litery regulaminu; wszakże najlepszy stan w drodze i po przybyciu na miejsce wykazał samochód Peugeot, prowadzony przez Czesława Zakrzewskiego. Obszerniejsze sprawozdanie z konkursu, w którym wziął udział także przedstawiciel „Ziarna“, podamy w numerze następnym.

Dziesięciolecie Wioślarskiego Koła Gimnastycznego.

Bezspornie ćwiczenia gimnastyczne u wioślarzy są prowadzone wzorowo, a Koło ich należy do najlepszych zespołów gimnastycznych w Królestwie.

Do roku jednak 1904 ćwiczenia te prowadzono bezplanowo i bez współpracy członków. Lecz niebawem zaczęto myśleć i pracować nad porządnym urządzeniem tych koniecznych, bo podstawowych dla sportu wioślarskiego—ćwiczeń.

Jako wynik podjętych usiłowań Komitet Tow. dnia 5 lutego r. 1904 wprowadził regulamin, obowiązujący wszystkich ćwiczących, i do zarządzania i czuwania nad gimnastyką i szermierką powołał pierwszą komisję gimnastyczną, w skład której weszli prócz założycieli Koła pp.: Z. Freyer jako starosta i E. Szreder — sekretarz. Naczelnikiem i kierownikiem został mianowany fachowo uzdolniony i energiczny p. E. Nebel.

Od tej chwili datuje się stały rozwój Koła, a dzięki pracy komisji liczba członków wzrasta z każdym rokiem.

W ciągu lat dziesięciu Koło odbyło 9 popisów dorocznych, 5 konkursów, 3 wieczornice sportowo-taneczne, 2 popisy w Ciechocinku i 1 w Włocławku.

W roku bieżącym Koło liczy 130 ćwiczących i 75 członków dawnych. Dzięki zabiegom komisji, Koło w dniu 18 marca r. b. obchodziło jubileusz dziesięcioletniej swej działalności popisem gimnastycznym połączonym z uroczystością obchodu i wieczornicą.



Kronika polityczna.

Samorząd miejski upadł. Odrzucono go w radzie państwa nawet bez prawdziwie wyczerpujących rozpraw. Podarto na strzepy jedyny poważniejszy projekt reformy dla Królestwa Polskiego, zapowiedziany już prawie przed dziesięciu laty, opracowany przed pięciu, uchwalony przez dumę państwową dwukrotnie, przyjęty przez Polaków w postaci najostateczniej już uszczuplonej, broniony kolejno, choć różnym doбором argumentów, przez trzech prezesów ministrów. Mimo to wszystko upadł.



Adam Napieralski
zasłużony działacz górnośląski, odrodziciel Starej Polski, były poseł do parlamentu, pisarz i dziennikarz, obchodził 25-lecie swej narodowej pracy.

Zwyciężyli więc: Hurko, Kobylinski i Stizinski, zwyciężyła reakcja nie tylko polityczna, ale i kulturalna. Zanosilo się na to zresztą oddawna. Po grudniu roku 1912 największy nawet optymizm polski zdobywał się zaledwie na cień nadziei.

W grudniu tego roku rada państwa odesłała projekt samorządu do komisji, wychodząc z założenia, że należy go tam gruntownie przerobić. Manewr był jasny; chodziło o nadanie projektowi takiej postaci, aby stał się on niemożliwy do przyjęcia przez dumę państwową z powodu przepisów o cenzusie, dozorcze administracji i zakresie działalności.

Potem nastąpiło słynne posiedzenie rady państwa z d. 17 kwietnia r. 1913, na którym Hurko i Stizinski, zakosztowawszy już powodzenie w komisji, przeprowadzili jeszcze usunięcie języka polskiego z obrad w samorządzie. Wielki był ich wówczas i znaczący tryumf: zdobyli przeciw 74 głosy przeciwko 50.

Tak rozstrzygnięta sprawa przeszła do dumy, aby tam natrafić na opozycję. Lewica nie chciała przystać na przepisy o cenzusie i protestowała przeciw kurjom. Mimo to wszakże projekt postawiony jako nagły w d. 25 czerwca tegoż roku, uzyskał uchwałę, niezgodną z radą państwa tylko w czterech punktach, między innymi co do języka. Samą zasadę zaś, tj. upodobnienie naszego samorządu do starego rosyjskiego, przyjęto.

Ustępstwa te wszakże nie przydały się na nic. Dnia 10 grudnia rada państwa bowiem jeszcze raz odrzuciła zarówno artykuł o języku polskim, jak

i inne sporne. Nieprzyjacielem samorządu osiągnęli wówczas 94 głosy przeciw 74.

Wynik ten osiągnięto mimo przemówienia na korzyść projektu ówczesnego prezesa ministrów Kowcowa.

Projekt odesłano zatem do komisji pojednawczej. Polacy znowu ustąpili, poszli jeszcze kilka kroków naprzód w rezygnacji, przystali i na dozór administracji i na cenzus. Pozostał zatem sporny jedynie punkt o języku polskim.

Ten to punkt właśnie rada państwa odrzuciła, rozstrzygając zarazem o całym losie sprawy.

Tymczasem już od lat całych na wszelkie projekty co do naprawy stosunków miejskich, urzędów administracyjnych i zmiany ustroju sanitarnego oraz społecznego, otrzymywaliśmy zawsze tylko jedną odpowiedź: poczekajcie za samorządem, a wtedy wszystko załatwicie sami. I czekaliśmy cierpliwie, choć tymczasem warunki stały się wprost nieznośnymi, choć niektóre przedawnienia i zaniedbania wołały o pomstę do nieba.

Co będzie teraz? Chodzą pogłoski, że rząd podczas wakacji poselskich z własnego ramienia wprowadzi samorząd miejski w Królestwie Polskiem. Inne znów mówią głosy, że prezes ministrów wznowi projekt jesienią i postara się o zmianę usposobienia nacjonalistów rosyjskich. Nie wiadomo, ile w tem prawdy. W każdym razie należy się uzbroić w dalszą, tak bolesną dla nas cierpliwość.

Bardzo szybko zakończyło się tryumfalne panowanie ks. Wieda w Albanji. Władca chciał usunąć potężnego ministra wojny, Essada baszę, który przygotował rzekomo spisek przeciw jego osobie i rzeczywiście wydalil go z granic kraju. Lecz skutkiem tego wybuchło powstanie oddanych Essadowi chłopów mahometańskich, którzy pobili wysłaną przeciw nim przez Wieda żandarmerję i wraz z jej oficerami holenderskimi zabrali ją do niewoli. Książę nie okazał się zbyt odważnym i po klęsce tej schronił się na okręt włoski, z którego powrócił do swej niefortunnej stolicy dopiero pod opieką austriackich i włoskich oddziałów. Obecnie jest więźniem w własnym domu i czeka na wynik układów dyplomatów z powstańcami. Ci domagają się jego ustąpienia i powołania na tron władcy tureckiego pochodzenia. Podobno zgodzili się wreszcie na pa-



Dom zrujnowany przez trzęsienie ziemi w Sycylii.

nowanie Wieda, o ile sprowadzi do kraju Essada baszę i odda mu znów władzę.

Być może, że rokowania dyplomatów zagranicznych z albańczykami sprowadzą koniec obecnego zatargu; inaczej trudno przypuścić, aby książę Wied zdecydował się zasiadać w dalszym ciągu na podminowanym tronie. Wszelako i to możliwe zażegnanie burzy nie będzie poważną rękojmią na przyszłość. Fakty wskazują, że przeciwnicy Austro Węgier postanowili nie dopuścić do uspokojenia Albanji, a sposobności i materiału do wicherzenia nie zabraknie tam nigdy. Najgorzej zaś wychodzi na tem pokój europejski, dla którego dyplomacja znaleźć chciała deskę ratunku właśnie w utworzeniu Albanji. Dzieło to niewątpliwie chybiłoby...

Lech.

Popioły odkrywcy.

Rząd Stanów Zjednoczonych, nie zrażony, a może raczej zagrany meksykańską zawieruchą wojenną, pragnie okazać wystąpić przy uroczystości otwarcia kanału panamskiego.

Obmyślił oto najwspanialszy efekt, na jaki stać możnego reżysera: na czele pochodów narodów amerykańskich stąpić będą heroldowie, niosący w urnie popioły Krzysztofa Kolumba!

Potem te prochy pójda na wystawę do San Francisco, by stanowić magnes, przyciągający tłumy amerykańców dla złożenia chołdu popiołom odkrywcy ziemi, na której ludy te zbudowały — swój dobrobyt i szczęście.

Ale co najdziwniejsza, że urna ta nie jest bynajmniej własnością Stanów. Należy do rzeczypospolitej San Domingo, pierwszego zrębu ładu, który ujrzał wielki genueńczyk.

Po 70-dniowej żegludze spostrzegł wysepkę. Schylił czoła przed łaską nieba i przed zwycięstwem odwagi oraz wytrwałości. Wyspę tę nazwał San Salvador. Opodal ciągnęły się wspaniałe łąny innej ziemi. Nazwał ją od imienia przybranej swojej ojczyzny: Hispaniola. Owa Hispaniola — to dzisiejsze San Domingo.

Otóż w testamencie swoim wyraził Kolumb życzenie, aby być pochowanym na tej ziemi, którą odkrył i którą ukochał uczuciem jednocześnie i ojca i syna. Jakoż pochowano w San Domingo nie tylko jego. Znajduje się tam grób i jego syna Diega i wnuka Ludwika.

Ale myliłby się, ktoby sądził, że z Kolumbem, który nie był szczęśliwym za życia, nie czyniono i dziwnych, nieprawdopodobnych wędrówek po śmierci.

Przedewszystkiem przypomnijmy, że król hiszpański Ferdynand Katoicki nie był dobrze usposobiony dla swojego admirała. Ulegał podszeptom zawistnych dworaków, którzy znieść nie mogli, iż cudzoziemiec okrył sławą imię potężnej Hiszpanji.

Królowa Izabella sprzyjała genialnemu żeglarzowi — racja więcej, aby partja króla go nienawidziła. Już drugiej ekspedycji Kolumba czyniono trudności. Trzecia pełna była zastrzeżeń dla administratora Indji, któremu dekret monarszy zarzucił jawnie przekroczenie władzy. Wyprawa zaś czwarta z r. 1506 — to formalna niełaska: nie pozwolono odkrywcy wylądować w San Domingo.

Przed pierwszą z wypraw admirał genueński w służbie hiszpańskiej postarał się o zabezpieczenie przyszłości swojego syna. Diego miał objąć zarząd Indji po śmierci ojca. Krzysztof umarł w Valladolid w r. 1506, syna zaś dopiero w r. 1509 dopuszczono do administracji. Ale wnet zausznicy dworscy rozwinęli i względem syna intrygi, które zatrwały życie ojcu: wezwany do Hiszpanji, lat 10 strawił na obronie swojej uczciwości i, nie dopiawszy celu, zmarł w roku 1516.

Ciało Krzysztofa pochowano pierwotnie w klasztorze św. Franciszka w Valladolid. W roku 1513 było przewiezione do Sewilli, gdzie spoczęło w klasztorze kartuzów.

Całych 20 lat przeszło, zanim opinja dworu i stanów Hiszpanji przechyliła się na korzyść Kolumba. Ten pogardzony cudzoziemiec, ten genueńczyk z ambicjami nienasyconemi kondotjera włoskiego, uznany był za chlubę przybranej ojczyzny. Głoszono jego sławę nawet w kościołach. Wówczas dopiero przypomniano sobie testament Kolumba, w którym wyraził życzenie, aby jego ciało spoczęło „w odkrytej przez niego ziemi“.

Przewieziono zatem te szczątki do Ameryki i niema żadnej wątpliwości, że do r. 1655 skrzynka ołowiana, mieszcząca szczątki Kolumba, znajdowała się w kościele św. Dominika.

Ale nadeszły niepokoje, walki Anglji i czynności zaborcze na całej linji oceanu. Wówczas arcybiskup Dominga polecił ukryć grób Kolumba. I odtąd rozpoczyna się okres legendy. Mówiono o dwu skrzyniach, z których jedna zawierała kości, a druga głowę, ale żadnym dokumentem nie stwierdzono przypuszczenia. Rząd hiszpański jednak miał przekonanie, że jest w posiadaniu całości popiołów Kolumba. Gdy r. 1795 na mocy traktatu bazylejskiego odstępował Francji część wysp dominikańskich, wysłał cichaczem grób kolumbowy na wyspę Kubę. Uroczystie złożono go w katedrze hawańskiej.

Pozostawał tam aż do wojny amerykańsko hiszpańskiej. Gdy Kuba przeszła w posiadanie chwilowe Stanów Zjednoczonych, szczątki Kolumba odesłano do Sewilli.

Ale rząd i ciało dyplomatyczne rzeczypospolitej San Domingo dowodzą, że Hiszpanja była wprowadzona w błąd. I do Hawany w r. 1795 i do Sewilli w r. 1810 wysłano skrzynię z innymi popiołami. Były to prawdopodobnie szczątki Diega Kolumba, syna Krzysztofa, gdyż w piwnicy katedry dominikańskiej wszyscy trzej Kolumbowie byli po-

godny, wiosenny, dostrzegł dwie kobiety zajęte robotą.

— Czy mię znów jakie лихо osłepiło? — mruzczał. — Ale teraz nie chybi, to Zadorzyna — poznają ją.

Powiedziawszy to otworzył furtkę od dziedzińca. Na szczebanie psów kobiety siedzące na ganku spojrzwały w stronę przybywających, a starsza, nagle zbiegłszy z schodów zawołała z uczuciem:

— Nasz pułkownik!

I na środku dziedzińca z płaczem rzuciła się w ramiona Hamańca. Długo łkała, a boleść jej usprawiedliwiał strój czarny, żałobny, który obie niewiasty odziewały. Młodsza stała za nią blada i drżąca, jakby zbrodniarz oczekujący wyroku potępienia i pilnym, choć obojętnym wzrokiem wpatrywała się w jego towarzysza. Była piękna, wysmukła jak łania, o cerze białości lilji i o złotym warkoczku, o krasę jej bardziej jeszcze strój żałobny uwydatniał.

— Mój mąż biedny tak lubił pułkownika i szanował, iż umierając polecił mi pańskiej opiece, której ja się chętnie poddaję i błagam o nią z tą moją sierotką.

Biedny Hamaniec stokroć wolałby był stać w ogniu armat lub na jakiej straconej pikiecie, niż wyrażać współczucie kobiecie. Siłać się, ażeby powstrzymać łzy, cisnące mu się mimowoli do oczu, mruzczał ni to, ni owo:

— Śmierć, to podły interes, mościa dobrodziejko, gorsza od wojny i bez kuli kosi ludzi...

Na jego szczęście młodsza niewiasta, niecierpliwie czekająca swojej kolejki, podbiegła do Hamańca pytając drżącym, zaledwie dosłyszalnym głosem:

— A porucznik Krzucki?

— Nie ma już porucznika, ale jest pułkownik Krzucki, komandor legji honorowej, wymieniany kilka razy w rozkazach dziennych cesarza, zdobywca kilku miejsc obronnych i najwaleczniejszy wojak z całej wielkiej armji, który oto stoi przed aśką.

Hamaniec wyrzekł te słowa podniesionym głosem, wskazując na towarzysza, który dotąd trzymał się w ukryciu. Był to mężczyzna pięknej, wojskowej postawy, w bojach ogorzały; lecz przyjrawszy mu się z bliska, duża kresa, od cięcia szabli idąca mu od oka przez nos i trochę rozdławiająca wargę, czyniła tę szlachetną twarz nieco odrażającą.

Młoda niewiasta za wskazaniem Hamańca podbiegła z rozwartymi ramionami do jego towarzysza. Na widok tej okropnej blizny cofnęła się jednak z wstrętem, a tylko z widocznym przymusem wyciągając do niego rękę, drżącą z odrazy, wyrzekła:

— Czy to pan jesteś, panie Florjanie?

— Jeżeli to nieszczęsne zeszpecenie zaprzecza mej tożsamości, to pozwól pani okazać inne, dotykalne dowody — odpowiedział zapytany, dobywając z zanadru zakrwawioną chustkę i wyдоста-

jąc z niej ostrożnie kilka strzępków. — Oto jej kokarda, otrzymana od pani przy pamiętnym pożegnaniu, taka sama jak w dniu rozstania, tylko przybyła do niej jedna kula nieprzyjacielska i wiele rozmaitych pchnięć białą bronią.

Dziewczyna mimowoli zadrżała i odwróciła się z wstrętem od widoku zakrzepłej krwi.

Tymczasem Hamaniec, odzyskując właściwą mu rubasność, prawił:

— Lepiej acaństwu powiem, czego się nie dowiedziecie od naszego bohatera, że jejmościance, a raczej kokardzie, zawdzięczamy niejedno zwycięstwo. Już to wszyscy wiedzieli, że kiedy Krzucki złapie karabin, a nawiąże nań niebieską kokardę, to ani ogień, ani woda, ani żaden djabeł go nie wstrzyma... Po bitwie pod Friedland jeszcze się tam jedna licha forteca trzymała, a naszej kompanji rozkazano ją zdobyć. Żle się jednak obliczyli, bo tych szwabów była przeważna liczba, a twierdza na długo w żywność zabezpieczona. Więc my, jak na straconym poście: nietylko nas niemcy prażyli z wałów, ale i niepokoili wycieczkami. Któryś tam z tych szoldrów zauważył niebieską kokardę na szpadzie Krzuckiego, podstępnie płałnął go przez głowę pałaszem, zrobił tę bliznę, jak waćpaństwo widzicie, chwycił szpadę i uciekł razem z kokardą. Krzucki, pomimo iż krew go zalała, pędził jak wściekły za Niemcem. Spuszczają prusacy most, a do niego strzelają, lecz to nic nie pomaga. Florjan dopada swego przeciwnika i nie mając innej broni chwyta jak pies zębami Niemca za gardło i odzyskuje swoją kokardę. My w tem zamieszaniu wpadliśmy za Krzuckim do twierdzy; szwaby się najmniej spodziewali i ataku odeprzeć nie mogli... Wyrzneliśmy ich tedy jak baranów i twierdza była nasza... Krzucki zaraz i bez duszy, z kokardą zaciśniętą w pięści tak silnie, że mu w żaden sposób roztworzyć jej nie zdołano. Jakoś odchuchaliśmy go na chwałę i pożytek wielkiej armji... Kiedy zaś leżał w szpitalu, cesarz go odwiedzał, a zdjawszy własny krzyż legji honorowej przypiął mu do kaftana, powiedziawszy te pamiętne słowa: „Pokłoń się, chłopcze, odemnie tej piękności której kokardę odważni tak cenią“*). Masz tedy jejmościanka i zaszczyt ukłonu cesarskiego.

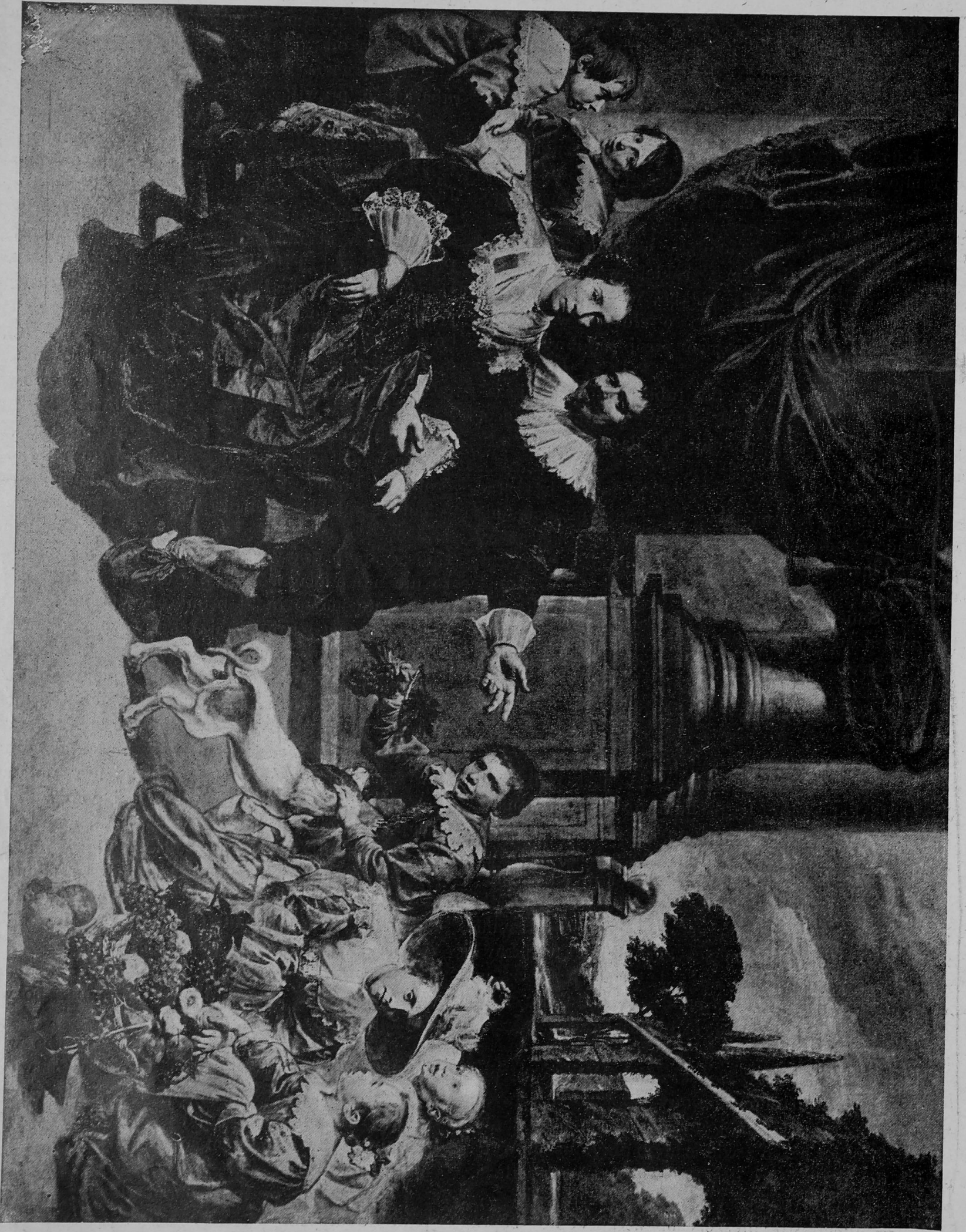
Starsza kobieta, słuchając z coraz to rosnącym zajęciem opowiadania Hamańca, porwawszy Krzuckiego w objęcia, zawołała:

— Szkoda, że nie jest młodą, bo w takim bohaterze rozmiłowałabym się do szaleństwa!

Zapewne że młodzieniec przekładałby uścisk innych ramion, lecz młodsza niewiasta była poważnie zajęta staraniem, aby wstręt do onej blizny przewyciężyć.

— A gdzież to ja mam głowę — przemówił pani Zadorzyna — że waszmość panów do izby nie prowadzę na posiłek i wypoczynek z dalekiej drogi

*) Z opowiadania starego napoleonisty.



Fr. van Hals.

ROD. J. ABRYSTY.



KRÓLEWSKI JEDYNAK. (Komedja L. Rylla).

Scena z aktu V na scenie teatru Rozmaitości.

Nie śmiem prosić w gościnę, bo u was mieszkam, ale zawsze chodźcie wypocząć.

Po czasie gdy się już rozgościli, a panna Olimpia, zapewne aby uniknąć widoku owej blizny, ciągle się wydalala pod pozorem gospodarowania, zabrała głos pani Zadorzyna:

— Nie ma roku, od kiedy pochowałam mego męża; zapracował się biedaczysko i umarł z zgryzoty i niepowodzenia. Chciało mu się nagle zwiększyć nasze mienie, rzucił się jak wielu na przedsiębiorstwa i dostawy dla wojska; jakoś nie dopisało, zabrnął w długie, a do tego trafił na twardego i niewyrozumiałego wierzyciela, których zamiast okazać cierpliwość i wyrozumienie, stał się nieugiętym, nieprzełamanym i odrazu zlicytował Krzuki i resztę wsi. Mój mąż biedny jeszcze się mordował, chcąc przez procesy i pracę choć część utraconego mienia odzyskać, lecz zapadł na zdrowiu i już się nie podniósł. Oto cała, krótka historia mego nieszczęścia.

— A teraz, panie Krzucki, winnam przed panem usprawiedliwić nasz tutejszy pobyt. Mój mąż, jak to panu na odjeździe przyobiecał, rozciągnął opiekę nad jego majątkiem. Powodziło mu się nadspodziewanie, lata dla pana były urodzajne, ceny dobre. Mój mąż, nie śmiejąc cudzego majątku wkląć w spekulację, ograniczył się na samem gospodarstwie rolnem i na tem pan wyszedł najlepiej; złożył panu rachunki męża i kapitałik zaoszczędzony przez niego, który leży w gotowiznie, do pańskiego rozporządzenia. Dom ten mój biedny mąż, mający tyle przychylności dla pana, wystawił dość tanim kosztem, jako niespodziankę; a kiedy nas ciężka strata wyrugowała z dawnego siedliska, nie mając się na razie gdzie podziąć, chwilowo tuśmy zamieszkały, lecz w tych dniach, skoro obmyślę dla nas schronienie, uwolnimy pana od przymusowej gościny.

— Proszę mi wierzyć — odrzekł Krzucki — iż gościnę państwa uważam za największe szczęście. Widzę, iż obok nowego zachowany jest mój stary domek, do którego przywykłem i gdzie mi będzie najlepiej. Zatem zanoszę najpokorniejszą i szczerą prośbę, abys pani w niczem nie chciała się krępować i pozostała tu jak najdłużej.

— A coby nasz panicz sam jeden robił w tym domu, chybaby myszy łapał; ot, niech asindzki siedzą, to nam wszystkim będzie jakoś raźniej — zakończył rubasznie Hamanec.

* * *

Gorąco był oczekiwanym przez obie niewiasty powrót Krzuckiego; młoda wypłakiwała oczy, a matka pilno było los córki zapewnić. Lecz gdy faktyle pożądany nastąpił, nagła zmiana w usposobieniu córki napełniła ją trwogą o przyszłość, przez którą nędza przeglądała. Z widocznego zaś wstępu Olimpii do dawnego oblubieńca niemożna było wypuszczać możliwości połączenia ich, a trudno było pozostawać w domu razem z córką na łasce obcego człowieka. Te wszystkie myśli tłoczyły zakło-

potaną głowę matki, skoro się znalazła na osobności. Pytanie: „co dalej począć?“ obilo się złowieszczeniem echem w jej frasośliwym sercu.

— Moja Olimpia — rzekła do córki — nie pojmuję cię. Dziś jeszcze zrana nie przestawałaś usychać z tęsknoty za ukochanym; obawiałam się, iż gdyby on zginął, nie przeżyłabyś tego i ciebiebym oplakać musiała, a teraz od twego umiłowanego Florjana odwracasz się z wstrętem. W istocie, nie mogę cię pojąć.

— Droga mateczko — odparła spłakana córka — siebie sama nie pojmuję. Skoro na niego nie patrzę i nie widzę tej jego odrażającej blizny, dawny jego obraz w całej piękności stoi mi przed oczyma, jakim był, kiedym go żegnała odchodzącego na wojnę... Dziwne mię jakieś szarpia uczucia: dopóki go nie widzę, a raczej widzę w myśli takiego, jakim był przy naszym poznaniu, życiebym dała za niego, ale gdy spojrzę na tę nieszczęsną bliznę...

I dziewczyna, zakrywszy twarz ręką, drżąc z wstrętu, mowy dokończyć nie mogła.

— Moje dziecko, blizna ta nie jest tak wstrętną, jak przesadzasz w własnej wyobraźni, a zresztą poniesiona dla zachowania twej pamiątki, za odzyskaniem jej na śmierć widoczną wpadł bezbronny do twierdzy nieprzyjacielskiej, dla ciebie więc winna być najpiękniejszą jego ozdobą... Pokochał on cię dzieckiem jeszcze, jak rycerz średniowieczny walczył pod twoją barwą i ty, dla marnej zmiany twarzy, tak niewdzięcznie odpłacasz wzniosłe jego uczucie!

— Ach! mateczko droga! ja kocham go takim, jak go widzę w tej chwili w myśli, lecz przełamać w sercu wstręt do tej blizny, to nad moje siły — wyrzekła dziewczyna, łzami się zalewając.

(d. c. n.).



CZARNA ZARAZA.

Towarzystwo patologji egzotycznej, istniejące przy instytucie Pasteura w Paryżu, dokonało przeobrażającego odkrycia. Stwierdzono bowiem na psach, przewiezionych do Marsylji, chorobę zakaźną pochodzącą z Indji i łatwo udzielającą się dzieciom. Zwie się ona „Kala-Azar“ śródziemnomorską czyli „czarną zarazą“, o której mówili na ostatnim kongresie lekarskim w Londynie prof. Laveran i Nicolle. Ale ani razu dotychczas nie zauważono na stałym lądzie choroby tej u ludzi ani u zwierząt. Poczyniono więc energiczne środki zapobiegawcze dla stłumienia zarazy, która może mieć okrutne następstwa.

W roku 1869 armje operacyjne angielskie, zajmujące Indje wschodnie zauważyły po raz pierw-

chowani w skrzyniach jednakowej wielkości. Na jednej jest napis, nie pozostawiający żadnych wątpliwości, że kryje ona szczątki Krzysztofa. Na drugiej odczytano wyrazy: „Admirał Ludwik Kolumb, księżę Veragua“. To trumna wnuka. Na trzeciej nie było żadnego napisu. I tę oto wysłano do Hawany, a potem do Sewilli.

Przekonanie rządu San Domingo dzieli całą Ameryka, a prośba, jaką zanoszą do małej rzeczypospolitej wielkie Stany północne, są tego urzędowym dowodem.

Gdy szczątki ojca nowego świata znajdą się w posiadaniu najpotężniejszego państwa amerykańskiego — kto wie, czy powrócą ponownie do mauzoleum katedry dominikańskiej. Chyba, że wraz z katedrą i... całą rzeczypospolitą...



TELEFON.

NOWELA.

O ile mi się zdaje, telefon jest to wynalazek bardzo pożyteczny.

Ludzie serjo, prowadzący duże interesy, mówili mi, że dziwią się, w jaki sposób dotąd mogli się obchodzić bez telefonu. Jakże tu nie podzielać ich zdania.

Co do mnie osobiście, jestem może cokolwiek zbyt wrażliwy...

Zdarzyło się, że raz miesiąc cały przeżyłem w kantorze, w którym znajdował się telefon (jeśli to tylko może się nazywać życiem). Dłużej nie wytrzymałem. Mówiono mi jednakowoż, że gdybym pozostał tam jeszcze dwa, trzy miesiące, wszystko byłoby dobrze. I istotnie mam wielu znajomych, ludzi w codziennym życiu bardzo gwałtownych, którzy przecież po kwadransie czasu wystają cierpliwie przed własnymi swymi telefonami. Powiadali mi, że z początku wymyślali i szaleli tak, jak ja, ale potem uśmierzyli się.

Tak zwykle bywa: albo ty rozbijesz telefon, albo on ciebie.

Oto niektóre z moich telefonicznych przygód: Potrzebuję zobaczyć się z znajomym, który mieszka stąd o dwie ulice. Kładę kapelusz; za 5 minut będę u niego w kantorze. Już wychodzę, wtem zwraca moją uwagę telefon. Istotnie, na co ten sprzęt? Postanawiam dowiedzieć się najpierw, czy mój znajomy jest w tej chwili w swym biurze; w ten sposób uniknę niepotrzebnego kursu.

Zaczynam od tego, że dzwonię raz, dwa, trzy, sześć — nikt nie odpowiada.

Chwyta mnie oburzenie. Odchodzę od aparatu i siadam, ażeby napisać list z płomienną skargą do

zarządu, gdy nagle telefon zaczyna dzwonić, jak na alarm.

Zrywam się z miejsca, niby tygrys, zbliżam się do otworu i wołam:

— Czy już nigdy nie doczekam się odpowiedzi na moje dzwonicie! Wszak dzwoniłem pół godziny... najmniej 20 razy. (Jestto kłamstwo, było wszystkiego 6 razy, no, ale w tego rodzaju wypadkach naga prawda nie odpowiada ściśle wymaganiom chwili).

Odetchnąłem i rznąę dalej:

— Uważam to za niegrzeczność... Podam skargę. Co mi za pożytek z telefonu, który nie odpowiada na dzwonicie! Płacę kupę pieniędzy, a skutek stąd żaden... To nieuczciwie. Dzwonię przez cały ranek. Co to, do kroćset bomb, ma znaczyć?!

Po tej „poencie“ oczekuję odpowiedzi, która wreszcie nadchodzi.

— Co... co pan mówi? Nic nie słyszę.

Kamienieję z złości i po chwili dopiero bełkoczę:

— Powiadam, że dzwonię już od godziny bez skutku...

— Czy pan sobie czego życzy? — następuje po chwili grzeczna odpowiedź. — Niech pan nie stoi tak blisko aparatu... tak niepodobna nic słyszeć. Jaki numer panu potrzebny?

— Tu nie idzie o numer — wołam wściekły — mówię, że nie mogę...

— Ośmset i który? — pyta łagodnie telefonistka.

I teraz jestem już złamany. Aparat nie wytrzymałby tych klątw, które chciałbym przezeń przelać. Już od połowy popękałyby wszystkie druty. Zrzekam się więc dalszej walki — i z pokorą oświadczam, że proszę o połączenie z № 4576.

— Cztery tysiące dziewięćset siedemdziesiąt sześć? — pyta telefonistka, sylabizując.

— Ale gdzie tam! — ryczę — 4576!

— Pan powiedział siedemdziesiąt sześć czy sześćdziesiąt siedem? — pyta dalej z nieporównaną łagodnością moja interlokutorka.

— Sześćdziesiąt siedem nie! chciałem powiedzieć siedemdziesiąt sześć! Niech pani poczeka, sam już teraz nie wiem...

— Dobrze, tylko niechże pan odszuka numer, jak się należy — brzmi odpowiedź, tym razem już surowa. — Cały ranek stoję przy tym aparacie.

I znowu zaczyna się poszukiwanie numeru i nowa rozmowa z telefonistką, która ostatecznie oświadcza, że jestem połączony z moim numerem.

— Chwała Bogu!

Przyciskam mocno słuchawkę do ucha... i oczekuję... Nie ma głępszego położenia, aniżeli takie oczekiwanie. Stoi się w kącie, na końcach palców, jak żak, z naprężoną uwagą... Głowa boli, kark boli, nawet włosy zaczynają boleć!

Nagle słyszę, że poza mną otwierają się z lekka drzwi biura, ale nie śmiem odwrócić głowy.

Słyszę jakiś szmer w telefonie... to najważniejsze.

To panna od telefonu zapytuje, czy już skończyłem rozmowę z № 4576?

— Skończyłem? Ależ ja jej dotąd wcale nie zaczynałem...

— Proszę prędeej! — odzywa się głos telefonistki, tym razem już zupełnie surowy—przez pana wszyscy tracimy czas.

Ta nagana doprowadza mnie do szczytu wściekłości.

— Czy jest tam kto? — krzyczę tonem, który mógłby wzruszyć nawet serce jakiego członka towarzystwa dobroczynności. I o dziwo! o rozkoszy, dochodzi mnie, jak gdyby z podziemia ledwie dosłyszalny głos ludzki, który odpowiada:

— Jestem... O co idzie?

— O! Przecież pan jesteś № 4576?

— Co?

— Czy pan jesteś 4—5—7—6, Willjamson?

— Co takiego? Kto mówi?

— Ja, 819, Jones.

— Kto, Bones?

— Nie, Jones... Czy pan jesteś 4—5—7—6?

— Tak, i co?

— Czy p. Willjamson w biurze?

— Ale kto mówi?

— Jones! Czy pan Willjamson w biurze?

— Kto?

— Willjamson. Will—jam—son.

— Nic nie słyszę.

Wreszcie natężam ostatnie siły i przy pomocy nadludzkich wysiłków, przy zastosowaniu wszechanielskiej cierpliwości, potrafiłem wyjaśnić temu durniowi, o co idzie. Odpowiada on o tyle, o ile rozumiem, że pan Willjamson do 4 po południu będzie w domu.

Chwytam za kapelusz i biegnę.

— Przeszedłem zobaczyć się z panem Willjamsonem — wołam w drzwiach biura.

— Wielka szkoda, sir — odpowiada grzecznie klerk — ale pan Willjamson wyszedł.

(d. n.).



Męczygłówka.

Nota, to, ci, noc, tam, Jerzy, Jan, Tamiza, éma, zęby, kęs.

Z liter i zgłosek powyższych wyrazów ułożyć znane polskie przysłowie.



PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO“ wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50; kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna“ w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

Trafne rozwiązania szarady z nr. 20 „Ziarna“

nadesłali: P. Karszo-Chmielewski, M. Piekarski, T. Dymitrowicz, Wł. Wendorff, J. Lalas, A. Skwierczyńska z Warszawy. J. Kryńska z Gaju Wor., A. Kucwicz z Tuczyzna, A. Buczyński z Radomia, J. Sobociński z Słupna, Br. Górka z Zielonki, T. Sobolewski z Szymanowic, Filaret z Białocerkwi, J. Sokołowski z Łojć, A. Koczerginówna z Dietrznik, W. Kohla z Winnicy, J. Ponikowski z Łukowa, Sz. Mika z Nowo Radomska, Różecka z Słomnik, E. Orgański z Częstochowy, W. Wiartowski z Warty, W. Dunin-Marcinkiewiczówna z Worot. leśn.

Z losowania wypadły nagrody dla A. Skwierczyńskiej z Warszawy i Filareta z Białocerkwi.

Królowie polscy,

Obraz rysunku J. Matejki, kolorowany przez M. Gerson-Dąbrowską, wykonany litograficznie w 18 kolorach, wyszedł w nowym nakładzie księgarni Jana Fiszera. Portety 40 królów polskich ułożone są na tle godeł narodowych i herbów Polski, Litwy i Rusi. Rozmiary dużego kartonu 74×100 cm. Piękna i barwna litografia oraz przedewszystkiem wzniosły temat i praca najslawniejszego malarza polskiego zalecają wspaniałe to wydawnictwo. Obraz, stanowiący prawdziwą i cenną pamiątkę narodową, winien znajdować się w każdym domu polskim.

Dzięki pomyślnemu układowi z firmą księgarską Jana Fiszera możemy Czytelnikom „Ziarna“ ustąpić obraz ten po cenach niższych i to na grubym papierze kartonowym po 2 rb. (zamiast 3 rb.); a podklejony płótnem na wałkach po 3,50 rb. (zamiast 5 rb.). Koszty przesyłki pierwszego obrazu wynoszą 50 kop., drugiego 85 kopiejek.

Zamówienia i przekazy adresować należy do Administracji „Ziarna“ z nadmienieniem, że wysłaną sumą (2,50 rb. lub 4,35) przeznaczoną jest na dostarczenie obrazu „Królowie Polscy“.

Zachęcamy raz jeszcze naszych Czytelników do skorzystania z rzadkiej sposobności nabycia dla domu swego pięknej i patriotycznej ozdoby.

Od Administracji.

Do numeru niniejszego (22) załączamy № 11 „SMIECHU“, dwutygodnika humorystyczno-satyrycznego.

TREŚĆ N-ru 22.

Wychodźcy polscy w Francji. — A kiedy wiosna... wiersz Z. R. — Konkurs samochodowy na zużycie benzyny. — Henryk Rzewuski: Zamek krakowski, romans histor. z w. XVI (c. d.). — Z cyklu: «Opamiętanie», wiersz J. Węgleńskiego. — Łotr przyjaciele Unji. — Z bliska i daleka. — Kronika polityczna. — Popioły odkrywcy. — Telefon, nowela. — Męczygłówka i rozwiązanie. — Od Administracji.

Ilustracje. Dziesięciolecie Koła Gimnastycznego W. T. W. — Samochód na usługach straży pożarnej. — Samochodem poprzez Saharę. — Wodnopłat Nieuport Destrem'a. — Ważenie samochodów w fabryce K. Rudzki i S-ka. — Plan jazdy konkursowej na samochodach przez Kr. Polskie i Litwę. — Pierwszy konkurs samochodowy na zużycie benzyny. — Pożar tartaków miejskich w Warszawie. — St. Niezabitowski. — Adam Napieralski. — Trzęsienie ziemi w Sycylii.